Nr. 14. Kraków, 1 Grudnia 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

REWOLUCYA I IMPROWIZACYA.

(DWIE ROCZNICE).

Dwie smutne rocznice, równie na zawsze narodowi polskiemu w pamięci wyryte, zbliżają się prawie ze sobą. Dnia 28 listopada 1855 w Konstantynopolu umiera największy poeta polski, dnia 29 listopada 1830 r. wybucha największy po rozbiorze protest narodu przeciw gnębiącej go przemocy. Dzień 29 listopada 1830 r., jakkolwiek przez współczesny ogół powitany był z radością, nie może innego w nas dzisiejszych budzić nastroju, jak tylko bardzo smutny. Tyle najdroższych, najwspanialszych nadziei w nic rozbitych! Powstanie listopadowe bowiem, mimo całego bohaterstwa bezprzykładnego nieraz, jakiem się odznaczało, dało tylko bolesny nad wyraz dowód, że o wywalczeniu sobie wolności bronią i samoistnie, marzyć nam trudno.

Mieliśmy wówczas najdzielniejsze na świecie wojsko, mieliśmy tego wojska dosyć, a jednak upadliśmy, a raczej daliśmy się rozbić i obalić, nie wytężywszy wszystkich naszych sił fizycznych i psychicznych. Inny niewątpliwie obrót wziełoby powstanie, gdyby cały naród bez wyjątku, od warstw najniższych do najwyższych, stanął był w szeregu. jak jeden mąż, i gdybyśmy wszyscy bez wyjątku posunęli się byli do ostatnich granic poświęcenia, jak to uczyniły jednostki.

Nikt rozumny nie mógłby powiedzieć ludziom z roku 30 i 31: „Kiedyście się zaczęli bić, to trzeba się było bić do ostatniego“.

Do ostatniego może się bić kilkuset ludzi, najwyżej kilka tysięcy, nie może armia, a tem mniej, cały naród; ale do ostateczności wytężyć całą energię, do jakiej się jest zdolnym, to mogą i armie i narody.

Nie wytężyła tej energii rewolucya listopadowa, i to jest prawie tak smutne, jak to, że skończyła się kapitulacyą Warszawy.

Naród polski, upadając w 31 roku, dał nowe świadectwo swej niemocy duchowej, nowe świadectwo sądowi Mickiewicza, że pojedynczo każdy zdoła wiele, ale zbiorowo potrafimy zdziałać mało, a w każdym razie mniej, niżbyśmy mogli i niż jesteśmy powinni.

I jeżeli musimy z całej piersi wykrzyknąć: cześć tym, którzy pierwsi za broń porwali, cześć tym, którzy z nadludzkiem męztwem walczyli pod Grochowem czy Ostrołęką, to z drugiej strony musimy ich zapytać: dlaczego złożyli tę broń, której im przecież nie wytrącono z ręki?

Gdybyście byli wszyscy patrzyli „na ojczyznę biedną, jak syn na ojca wpleconego w koło“, gdyby każdy z was był sobie powiedział „ja i ojczyzna, to jedno“, gdyby każdy z was mógłbył się nazwać milion, bo za miliony kochał i cierpiał katusze: to, wy, bohaterowie, godni nieraz termopilskiego nieśmiertelnych hufca, a zawsze godni, abyśmy wam, którzy jeszcze żyjecie, ręce z najwyższą czcią całowali, wy nie bylibyście ustąpili z placu boju, nie wystrzeliwszy ostatniego ładunku.

Gdybyż ten naród nieszczęśliwy miał takich Konradów czynu, jakich miał słowa, uczucia, myśli... Gdybyż energią swą wytężył był naród do tego stopnia, jak ją wytężył Mickiewicz w „Improwizacyi“...

Gdybyż był sobie naród powiedział w 31 roku: „To jest chwila Samsona“....

Między „Improwizacyą“ Mickiewicza, a rewolucyą listopadową widzę pewną analogię; poeta i naród zrywają się do buntu, do walki, obaj upadają pokonani, ale dokąd naród zaszedł, a dokąd poeta!...

Z jaką dumą ogromną mówilibyśmy dziś o dziadach naszych, gdybyśmy mogli o nich powiedzieć: zrobili wszystko, co mogli...

Mickiewicz zrobił wszystko, co mógł. Nikt na świecie ani przed nim, ani po nim, walcząc z potężniejszą od człowieka siłą, rządzącą absolutnie światem, nie skupił tak swej całej mocy duchowej, na jaką go stać, jak Mickiewicz w arcydziele swych arcydzieł, w „Improwizacyi“.

To uczucie patryotyczne, które jest jej rdzeniem, uczucie niesłychanie silne, powinno nas przeniknąć; to uczucie które nie umarło, umrzeć nie może i rzucone jest między nas, powinno nas ogarniać całych, z mózgiem i sercem. To jest największa po Mickiewiczu spuścizna. Pan Tadeusz jest arcydziełem poezyi, ale patryotyzm Mickiewicza był arcydziełem patryotyzmu.

I czyż spuścizna ta nie poszła na marne?

Czyż to olbrzymie uczucie, ten olbrzymi duch, ten milion rozdrobnił się na miliony, mniej wielki sam przez się, bo rozdzielony, ale równie wielki w całym narodzie żyjący?...

Puste pytanie, bo na nie odpowiedź z góry znana, a przecząca. Któż z nas kocha tak Ojczyznę, jak ją kochać trzeba, ze wszystkich sił swoich i ze wszystkiego serca swego, któż z nas kocha Ją do najwyższego natężenia miłości, do jakiej jest zdolny?.... Któż z nas czuje „całego cierpienia narodu, jak matka czuje w łonie bole swego płodu“?....

Samodzielna walka z bronią w ręku o niepodległość jest dla nas w obecnej chwili niemożliwą, ale do wszelkiej innej walki pole mamy otwarte. A zawsze i wszędzie iść z nami winno bohaterstwo żołnierzy polskich z pod Grochowa i miłość kraju, jaką dlań miał Adam Mickiewicz.

Czy zwyciężymy?... Nie wie nikt, ale schodząc z pola oby nasze pokolenie mogło swoim następcom powiedzieć to, czego dotąd żadne z poprzednich powiedzieć następującemu po sobie nie mogło: Oto uczyniliśmy wszystko, co było w mocy naszej.

KAZIMIERZ TETMAJER.

GNIAZDKO.

(Z SULLY PRUDHOMME'A).

Świat dziecięcy działa na mnie tkliwie:
Toż dla dziatwy stałą przyjaźń żywię
I uznacie, że w tem słuszność mam...
Raz z miluchną igrałem dziecinką:
— Powiedz mi co, moja ty boginko!...
— „Kochaj mię pan" — rzekła z lubą minką —
„Ja ci za to śliczne gniazdko dam"...

Czy słyszycie? Gniazdko! — dar to boski
Dla mnie, który znam się z łzami troski,
Lecz rozkoszy niezaznałem łez!...
Zrozumiejcie: z dziecka drobnej dłoni,
Z sercem świeżem jak kwiat cudnej woni,
Mieć gniazdeczko, które mię osłoni
I położy smutnej doli kres!...

Czy słyszycie: Człowiek, jak ja, próżny,
Który mniemał, że jest światu dłużny
Imię swoje na marmurze ryć, —
Otrzymuje od ptaszyny małej,
Którą skrzydła matki ogrzewały
Dzisiaj jeszcze — za skarb życia cały
To, że może o gniazdeczku śnić!...

Cóż jest gniazdko? To serdeczne ciepło,
Co ożywia duszę na pół skrzepłą, —
To nadzieja, — to miłości szmer, —
To szczęśliwość, która żyje w cieniu, —
Sen rozkoszny w kołysanki brzmieniu,
Pieśń o raju w niebiańskiem marzeniu
Podsłuchana z zaobłocznych sfer!...

Ty gniazdeczko dasz mi, o dziecino?...
Patrz: z mych oczu łzy radości płyną, —
Tak to słówko trafia w serce wprost!...
A łzy takie — wolne od boleści:
Serce niemi żywi się, duch pieści,
Bo z nich każda — rozkosz w sobie mieści
I przysparza ducha moc i wzrost!...

Słówko to spotkało się w mej duszy
Z próżnią, co otuchę wszelką kruszy,
Tak pozioma ją wypełnia treść:
Toż mi będzie — na pustyni zdrojem,
Będzie męzką siłą i spokojem,
I jedynem hasłem będzie mojem,
Zdolnem duch i serce w górę wznieść!...

Patrz, dziecino: oto moja ręka...
Twój przyjaciel wcale się nie lęka
Iść na ślepo za rączyną twą:
Tam, na łące, kołem tany wiodą
Dziwy cudne wdziękiem i urodą...
Wybierz dla mnie gołąbeczkę młodą, —
Za twe gniazdko — podziękujęć łzą!...

Tłumaczył Ludwik Kozłowski.

Z DZIEJÓW ROZWOJU UMYSŁOWEGO W POLSCE.

Pocieszającym w dziejopisarstwie naszem objawem jest zerwanie z szablonem „książkowej" historyi, która z życiem narodów nic lub bardzo mało miała wspólnego, a szczyt doskonałości swojej upatrywała w jaknajwiększem nagromadzeniu imion, faktów i dat, nie dbając wcale o przyczynowo-wynikowy ich związek, ani na głęboki proces dziejowy większej nie zwracając uwagi. W rozumieniu pisarzy nowoczesnych przestała historya być „ein Fürsten- und Schlachten-Catalog", a stała się odźwierciedleniem całokształtu życia społecznego narodów, odbiciem prądów, nurtujących w społeczeństwach poszczególnych epok i krajów i objaśnieniem dla przewrotów politycznych, socyalnych i filozoficznych, które w danym narodzie i czasie miały lub mogły mieć miejsce. Dzisiaj też od historyka i badacza przeszłości innych wymaga się uzdolnień i rezultatów, niż dawniej.

Przeładowana milionem dat i nazwisk erudycja nie zastąpi dzisiaj szerokiego na świat i ludzkość poglądu, a najsumienniej i najskrupulatniej zebrany i uporządkowany balast faktów historycznych nie zastąpi genialnie napisanej historyi umysłowego i społecznego rozwoju narodów.

Literatura nasza, skąpo jeszcze uposażona w wybitniejsze dzieła nowszego pokroju, wzbogaca się jednak z rokiem każdym nowymi w tej dziedzinie nabytkami, a jeśli nawet część ich raczej kompilacją niż oryginalnem dziełem zwaćby się godziło — przecież pożądaną jest każda próba, choćby najskromniejsze miała kształty i nie odrazu zwiastować mogła arcydzieło. Zwłaszcza zaś dzieje wieku XVIII., wieku tak pełnego niesłychanie ważnych procesów i przewrotów socyologicznych i filozoficznych nietylko na zachodzie, ale i u nas, wywołały cały szereg dzieł nierównej wprawdzie wartości, ale pożytecznych i potrzebnych, że na tem miejscu tylko wymienię: „Historję ruchu społecznego" B. Limanowskiego, „Polskę za Stanisława Augusta" T. Korzona, „Z dziejów XVIII. wieku" K. Waliszewskiego i najnowszą z tego zakresu książkę Władysława Smoleńskiego p. t.: „Przewrót umysłowy w Polsce XVIII. wieku*), której obecnie bliższą pragnę poświęcić uwagę.

Książka p. Smoleńskiego jest w piśmiennictwie naszem pewnego rodzaju unikatem: zarówno ze względu na „jednostronność" tematu, jak i stanowiska autora. Usunąwszy na bok wszelkie polityczne przewroty i rozterki, które przecież w wieku XVIII. najważniejszą u nas odegrały rolę — przedsięwziął sobie p. Smoleński zbadać i przedstawić tło i podkład umysłowy odnośnej epoki, na którym rozegrały się najważniejsze w dziejach naszych wypadki i ocenić ze stanowiska możliwej przedmiotowości prądy i wpływy, które w czasie tym przeważnie na naród i społeczeństwo polskie oddziałały. Wychodząc z zasady, którą jako motto swej książki postawił na czele, że „wierzenia, dzieci niewiadomości, niedługo przeżywają swą matkę" — starał się p. S. wyśledzić dokładnie chwilę ich skonu i narodzin świadomości, chwilę, która niezawodnie zadecydowałaby o przyszłości narodowej, gdyby nie była nadeszła — za późno.

Oto jak p. Smoleński charakteryzuje epokę:

„Po wielkich wstrząśnieniach reformacyi ogarnęła Polskę reakcya katolicka, której panowania żaden przez długie lata nie zmącił rokosz. Duch teologiczny przeniknął wszystkie pory stosunków: zarówno na aktach myśli i uczuć, jak działań praktycznych człowieka wycisnął swe piętno. Dzięki jemu dostroił człowiek myśl swoją do akordu dogmatów, według komendy artykułów katechizmowych maszerował przez życie od kołyski do trumny". Nie dziw, że umysłowość nasza w dobie rzeczonej reakcyi przedstawia obraz nad wyraz smutny i przygnębiający; obraz, któremu p. Smoleński nie szczędzi jaskrawego oświetlenia, posługując się materyałem, czerpanym wyłącznie niemal z pierwszej ręki: świadectwem współczesnych autorów i źródeł. — „Wpływ reakcyi odbijał z natury rzeczy najsilniej swoje piętno na wychowaniu młodzieży, którą wdrożono do dewocyi i fanatyzmu i niczego zgoła nie uczono, coby nie służyło względom kościelnym". Następstwem tego było, że, opuszczając ławę szkolną musiała przy pomocy

*) Kraków 1891. (Petersburg), 8-vo str. 424 (u Gebethnera).

kilku tez filozoficznych i sentencyj teologicznych oryentować się w powodzi otaczających ją zjawisk; a nie znając granic swojej wiedzy — fakt każdy, natury publicznej czy prywatnej, doniosły czy drobny, podobnie jak prognostyk z nadprzyrodzonego wywodziła źródła. Pojęcia ogółu skaził też zabobon i przesąd. Wierzono w złe duchy, które ofiarowywały swe usługi chętnym dla ich celów czarownikom i czarownicom, siejącym utrapienia i klęski, a siłę wiary w przesądy powiększały jeszcze klęski, trapiące naród przez ciąg całego stulecia, jak najazdy Szwedów, Moskwy, Turków i Tatarów; wojny domowe i powietrze morowe, które przez cały wiek XVII. grasowało prawie bez przerwy. Człowiek, obarczony tylu nieszczęściami, ani ich nie rozumiał, ani nie miał sposobu się bronić przed niemi, przybity ich tajemniczą grozą — nic dziwnego tedy, że uciekał się pod skrzydła nauki o grzechu, karze i pokucie, zapełniał sobą kościoły, tonął w praktykach religijnych, stał się dewotą, uczestniczył w procesyach, zapisywał się do bractw, udręczał ciało włosiennicą, pasami kolczastymi i biczowaniem, lub nawet sobie męczarnie zadawał. „Przewodniczyli w praktykach nabożnych księża, szczególniej zakonnicy, których liczba w stuleciu XVIII. wzrosła olbrzymio. Około 600 klasztorów rozrzuconych było po kraju.

Ksiądz umiał pozyskać sobie zaufanie rodziny i wśliznąć się do najskrytszych tajemnic. Człowieka, którym chciał owładnąć, cieniem był nieodstępnym i niepodzielnie nad sumiem jego panował. Rygoryzm kościelny i religia były busolą we wszystkich stosunkach życia i stanowiły probierz i miarę do oceny faktów i ludzi. Najciężej oczywiście dało się to we znaki dysydentom; zwłaszcza, że do walki przeciwko nim parły ogół katolicki nie względy etyczne, ale dogmatyczne i obrzędowe. Usuwano ich z urzędów, tamowano im na sejmach wolność głosu, nie pozwalano zasiadać w sądach*). Żarliwość katolicka i nienawiść do herezyi doprowadziła społeczeństwo do okrucieństw i przebrania miary w chęci „przypodobania sie Bogu“.

Stan ten umysłowy społeczeństwa polskiego w 17. wieku nie był atoli wyjątkiem. Był on we wszystkiem podobny do ówczesnych stosunków na zachodzie i stanowił w epoce ogólnej reakcyi, jaka ogarnęła Europę po wstrząśnieniach religijnych w wieku XVI. zjawisko całkiem naturalne. Tylko, „kiedy w mrokach, ogarniających nasze społeczeństwo rzadko się błędny zaledwie trafił ognik“; — na zachodzie zapalali w ciemnościach słońca i rozświetlali mroki pochodnią wiedzy geniusze tej miary, co Kepler, Galileusz, Newton, Torriceli i Paskal, których odkrycia w dziedzinie astronomii i fizyki doświadczalnej przyprawiły o upadek uświęcone tradycye i przesądy i podkopały teologiczny pogląd na świat i ludzkość. Do nas wieść o nowym światopoglądzie dostała się późno, bo dopiero około połowy wieku XVIII., kiedy „zupełna niemal abdykacya Rzeczypospolitej w sferze interesów politycznych budziła w społeczeństwie refleksyę i zmuszała je do poszukiwania nowych dróg pracy“. Jednakże podobnie jak w sto lat póżniej, tak i wtedy próby przyswojenia zdobyczy naukowych zachodu uprzedziła k r y t y k a nowej filozofii, podjęta przez duchowieństwo zakonne, zwłaszcza jezuitów, ze stanowiska interesow religii, a tem gwałtowniejsza, ostrzejsza i stronniejsza im większy nowe teorye w kraju znachodziły odgłos.

Zawrzała zarazem walka wyznawców filozofii arystotelesowskiej przeciwko jej przeciwnikom: pijarom. Zaczepieni, manifestując ciągle swą prawowierność, wytrącali tem samem perypatetykom najsilniejszą broń z ręki; nowe zaś teorye cenzurowali starannie, omijając wszystko, coby zaczepiało wiarę i podkopywało powagę biblii. Pseudoradykali pijarscy wojowali tedy z poglądami Berkcley'a, Deskartes'a, Gassendi'ego, Newtona, Leibnitza, Kopernika, Spinozy, o ile one obrażały wersye biblijne; a jakkolwiek uporczywie powtarzany im zarzut nieprawowierności psuł im reputacyę, przecież w końcu nietylko sami zwyciężyli, lecz jezuitów za sobą porwali. W szóstem i siódmem dziesięcioleciu odnosi filozofia *recentiorum* stanowcze zwycięstwo nad zaśniedziałą tradycyą. Filozofowie, do niedawna za gorszycieli poczytywani zdobywają sobie uznanie; szczególne zaś wzięcie zyskują poglądy Wolffa, ucznia Leibnitza. Natomiast Hobbes i Spinoza „budzą w ludziach religijnych — odrazę“. O ile atoli i inne teorye nie zaczepiały wprost dogmatów etyki chrześciańskiej, nie odrzucano ich wcale. Górę wziął eklektyzm, złożony z idei Bakona, Kartezyusza, Gassendiego, a zwłaszcza Locke'a, którego teorya gołej tablicy ducha (tabula rasa) i zawarcia możności poznania w granicach zmysłów — spowodowała nadzwyczajny rozrost i znaczenie nauk eksperymentalnych (fizyki doświadczalnej). Reakcya przeciw wybujałościom scholastycznym wpadła w ten sposób w drugą ostateczność, wprowadziwszy filozofię do najściślejszego empiryzmu. Pociągnęło to oczywiście za sobą zaciętą i nieubłaganą walkę z przesądem i całym światem zabobonów, widm, czarów, wierzeń i guseł i zdyskredytowanie takich „nauk“, jak: kabała, genomancya, hydromancya, lekomancya, teromancya, klidomancya, kościnomancya, itp. Astrologii, „którą uprawiali ludzie, zajmujący wybitne stanowiska“, przeciwstawiono astronomię, która znalazła wkrótce gorliwych adeptów w Wilnie, Warszawie, Poznaniu i Lwowie. (Dokoń. n.)

J. S.

*) Por.: Smoleński W. „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej“. Warszawa 1883.

RUINY.

(SZKIC).

Chmura na zachodzie rosła z każdą chwilą.

Wiatr zimny, przejmujący wiał od niej i studził, odświeżając niedawno jeszcze duszną i parną atmosferę. Tumany kurzawy, gnanej wiatrem, całemi kłębami otaczały mnie i konia, zasypując nam oczy, oślepiając nas czasem doszczętnie. Jazda dalsza stawała się wprost nieznośną, a jednak jechać należało coraz pośpieszniej — ażeby skryć się gdziekolwiek przed burzą... przed ulewą, która mogła się rozpocząć lada moment.

Pociskałem raz po raz klacz kolanami i posuwałem się naprzód szalonym kłusem, z chyżością pośpiesznego pociągu. Z tyłu dochodził mych uszu miarowy tentent konia pod chłopakiem stajennym, który nie mogąc zdążyć kłusem, galopował zawzięcie.

Czerwono-brunatna chmura ścigała nas z wściekłą zawziętością; pół widnokręgu już była sobą zakryła; już... już miała przesłonić i słońce, jasno, choć jakoś żałobnie dziś świecące.

Nagle przerażająca jasność, olśniewająca błyskawica — wąż ognisty przedarł brudny całun na dwie prawie równe połowy i zygzakiem ku ziemi spłynął... Huk pospieszył w ślad za jasnością tą straszną.

Gdy oślepiające wrażenie błyskawicy minęło, spojrzałem z niepokojem przed siebie: w dali widniała wioska podolska; białe chaty, otoczone zielenią sadów, spuszczały się jarem coraz niżej aż ku jasnej wstędze wartko płynącej rzeczki... Bliżej mnie, przed wioską, na prawo na wzgórzu wznosiły się jakieś obszerne, poważne mury, niby pałac jakiś magnacki, niby ruiny zamku. Dach na budynku stał jeszcze nie tknięty, i w niektórych oszklonych jeszcze oknach jaskrawo odbijały się błyski piorunów.

Zoryentowałem się w mgnieniu oka: innej rady nie było. Postanowiłem przed burzą skryć się w tych ruinach... w chmurach już huczało złowieszczo, ulewa wisiała w powietrzu.

Zebrałem konia krótko i, cmoknąwszy dla zachęcenia, ruszyłem naprzód pełnym myśliwskim galopem.

Pioruny biły już wokoło; w uszach mi od huku tego szumiało dziwnie, mimo to słyszałem najwyraźniej przyspieszone nieregularne sapanie starego, dońskiego kasztana, który z tyłu pod Maksem wydobywał ostatku sił.

— Już niedaleko, nic mu się nie stanie — pomyślałem w tej chwili — przebędziemy tylko tę małą wyniosłość i schronimy się w ruinach.

I uderzyłem klacz dziś po raz pierwszy rajtpejczem. W tejże samej chwili zaczął padać grubo-kroplisty deszcz; gliniasty pagórek oślizł w jednej chwili i tylko nadzwyczajnej sile i sprężystości mej „Zulejki“ zawdzięczam, żem wówczas w kilku sekundach znalazł się na szczycie wzgórza. Maks wśród deszczu, stępo musiał się drapać po śliskiej spadzistości; kasztan był ustał zupełnie.

Spojrzałem wokół siebie. Znajdowaliśmy się wśród rozległych murów pańskiego snać ongi dworzyszcza. Na bocznych pawilonach sterczały jeszcze mocne, przez czas zczerniałe ceglane dachy; środkowy gmach rozpadał się już w gruzy, tylko mury poszarpane ponuro sterczały; kolumny ganku jak dęby przez huragan zwalone, zalegały pałacowy dziedziniec.

Szukając najbezpieczniejszego schroniska, weszliśmy wraz z końmi do obszernej, parterowej izby w prawym pawilonie.

Deszcz lał już jak z wiadra: czerwcowa burza szalała w całej grozie; grom huczał po gromie; konie nasze drżały jak w paroksyzmie febry.

Rzuciłem okiem po obszernej izbie; był to kwadrat zupełnie regularny; marmurowy, olbrzymi komin zajmował prawie pół jednej ściany; misternie rzeźbione i świecące jeszcze tu i owdzie pozłotą gzymsy komina były haniebnie poszczerbione i poobijane; na ścianach widniały ślady pozacieranych fresków... w komnacie tej były cztery duże włoskie okna, sięgające prawie do marmurowej posadzki; okna te zwracały się na południe i zachód a u ich stóp rozścielała się zielona murawa, spuszczająca się lekką pochyłością ku rzadkim drzewom przetrzebionego snać parku.

W jednem z tych okien stał, zwrócony do nas plecami, dziwny jakiś człowiek. Robił wrażenie olbrzyma, giganta bajecznego. Stał w ten sposób oparty lewem ramieniem o spruchniałą futrynę, że zrazu mogłem tylko dostrzedz: jego potężną, siwym, rozwianym włosem pokrytą głowę, szerokie herkulesowe barki i zgarbione plecy, okryte starą, spłowiałą kurtą kozaczą; z pod szerokich płomiennych szarawarów wyzierały bose, pomarszczone stopy.

Człowiek ten widocznie nie słyszał naszego wejścia, ni tententu końskich podków o płyty posadzki; ani drgnął nawet — zadumany, zapatrzony w dal, w groźne chmury, w blaski piorunów, w powódź ulewy; znać wspaniała groza huraganu przykuwała do siebie całą uwagę starca.

I ja ujrzawszy go, zatrzymałem się na miejscu; ze wzrastającem ciągle zajęciem wpatrywałem się w ten posąg żywy, wyraźnie wspomnieniami dalekiej przeszłości w martwy głaz zmieniony; stałem bez ruchu, oddechem nawet głośniejszym bałem się przerwać zadumy olbrzyma.

Nawałnica srożyła się tymczasem z niezwykłą gwałtownością; całe snopy ogniste oświecały na mgnienie oka ponury, zasępiony chmurami widnokrąg; jaskrawe, oślepiające węże błyskawic jednoczyły się w jakieś fantastyczne kłęby ognia, a łącząc się z hukiem nieustającym prawie, zdały się już zapowiadać rychły koniec tego świata... Zdawało mi się chwilami, że całe sklepienie niebieskie wnet runie na ziemię; stare drzewa w parku gięły się, jak trzcina nadbrzeżna; grube mury zamczyska drżały, trzęsły się w swych fundamentach — a starzec stał ciągle nieporuszony, niby skamieniały.

Nagle, wydało mi się przez chwilę, że ziemia cała zmieniła się w piekło olbrzymie; potok, powódź płomieni objął nas ze wszech stron; konie przyklękły na przednie kolana; a my obaj, przerażeni majestatem rozwścieczonej przyrody, staliśmy, niby w dwa słupy solne zmienieni.

Kilka minut musiało minąć, zanim, po tem wstrząśnieniu, zdołałem otworzyć oczy. Gdy to uczyniłem, ujrzałem olbrzymiego starca, siłą snać gromu odrzuconego w głąb, opierającego się drżącemi rękoma o wilgotne ściany izby.

Przerażony, rzuciłem co rychlej cugle mego konia chłopcu, a sam podbiegłem do starca. Wstrząsnąłem olbrzymem, o ile na to moje siły pozwalały; zaczerpnąłem dłonią deszczowej wody, która się w zagłębieniach posadzki zgromadziła i bryznąłem nią na twarz i skronie starca. Otworzył on wybladłe, zamglone oczy i sekund kilka patrzył na mnie bezmyślnie, nieprzytomnie. Wnet jednak po tem wzrok się jego ożywił dziwnie, spojrzał przez okno w głąb parku i z ust zaciśniętych dotychczas kurczowo, wydobyły się pierwsze słowa:

— Wże konec!... Wże ostatok!

— Co wam jest, dziadu? — pytałem wstrząsając nim znowu, pragnąc na siebie zwrócić jego uwagę.

— Ostatok! Ostatok! — szepnął nad wyraz smutnym głosem i, nie spojrzawszy nawet na mnie, powrócił na swe dawne stanowisko, w framudze okna.

Nie zrażony tem poszedłem za nim i chwytając go za suche, zdrewniałe ramię, pytałem uparcie:

— Powiedz! Powiedz dziadu: ktoś ty taki, co tu robisz?

Olbrzym spojrzał po raz pierwszy wprost w moje oczy; na jego szarej pomarszczonej twarzy błysnął wyraz dumy jakiejś i pewności siebie, wyprostował się przytem ogromnie i dźwięcznie, dobitnie odpowiedział po polsku:

— Jestem Dynys Kurezab, starościński dawniej przyboczny kozak... dziś stróż jedyny tego pałacu... i grobowców pańskich.

Po tych słowach zwrócił się znowu ku oknu i — najniespodziewaniej, z dziwną lekkością i zgrabnością — zsunął się po niskiej ścianie na sąsiednią murawę. Ja pozostałem w oknie; oczom własnym wierzyć nie chciałem. Deszcz ulewny był już ustał, drobne tylko kropelki tu i owdzie spadały; wśród tego drobnego deszczyku, po oślizłej, mokrej murawie szedł ten nie zwykły starzec bosemi nogami, pewnym pospiesznym krokiem ku sąsiednim drzewom.

Bojąc się, żeby mu się co nie stało, bym go wreszcie nie stracił z oczu, wyskoczyłem i ja na murawę i poszedłem za nim.

O jakie trzysta kroków od ruin pałacu, pomiędzy staremi, przez burzę ponadłamywanemi drzewami, ujrzałem — szczątki białego, marmurowego pomnika, świeżo przez grom roztrzaskanego na kilkadziesiąt kawałów... Białe odłamy kararyjskiego kamienia, zmieszane z obitym przez burzę liściem drzew i obłamanemi gałęźmi stanowiły niekształtną kupę, hojnie błotem i piaskiem obryzganą.

Stary doszedłszy do nietkniętej podstawy pomnika, runął całym ciężarem swego olbrzymiego ciała na ziemię i począł rozpaczliwie tłuc czołem o gładkie, twarde płyty. Wołał przytem bezprzestannie:

— Konec! Ostatok!.. Konec! Ostatok!...

Po tem nagle zerwał się gwałtownie, wyprężył się nienaturalnie i począł szeptać urywanemi, lecz dziwnie bolesnemi słowy:

— Ha! ha!... Przepowiadali wam to panie starosto... przepowiadali... Nareszcie wam ostatni pohybel przyszedł.. Sprzedali wy starosto Polszczę... moskalowi... sprzedali... za marne grosze, za ordery carskie... Teraz Bóg karze... Przyszedł wam koniec... koniec... ostatek... pohybel!

I padł znowu jak długi na rozmokłą ziemię i płakać począł boleśnie, rozdzierająco...

Stałem obok milcząc, wzruszony, zdziwiony bólem tym strasznym, żalem tym olbrzymim. Patrzyłem na siwą głowę starca tarzającą się po ostrych złomach marmuru. Pośród tych odłamków zwróciły na siebie moją uwagę potrzaskane

szczątki pomnikowej tablicy; pomimo uszkodzeń odczytałem jednak wyraźny napis:

.....omski... starosta... hłajski..
Konfederacyi targowickiej konsyliarz..
...ees... generał-leite...
...Kawaler orderu...

Stary szlochał bezprzestannie; chciałem go podnieść, zawieść do jakiejś izby, na pościeli jakiej ułożyć. Moje słowa, perswazye, prośby na nic się zrazu nie przydawały! ból snać tak srogi ogarnął był starca, że głuchy był na wszystko, co go otaczało. Szeptał tylko ustawicznie:

— Koniec!... Ostatok!...

Jednak po jakimś czasie spojrzał znowu na mnie i zdziwienie jakieś wypiętnowało się na jego zmęczonem obliczu; patrzył tak, jakby mnie po raz pierwszy spostrzegł. Patrząc mi badawczo w oczy przemówił:

— Tak!... Ostatek!... Koniec!... I mój już koniec nadchodzi... Jeżeli macie Boga w sercu, to popa mi sprowadźcie... Koniec mój nadchodzi... pańską sławę przeżyłem, nieszczęśliwy... Popa! Na rany Chrysta, popa!

Groza burzy dawno już była przeszła; słońce już znowu jasno świeciło; słowik śpiewał w zaroślach pieśń weselną, życiem kipiała cała przyroda — a ten starzec prawił o śmierci.

Pozostawiłem Maksa przy chorym stróżu ruin, sam dosiadłem klaczy i pojechałem do wsi po popa.

Miejscowego parocha zastałem w domu, zmartwił się bardzo wiadomością, której mu udzieliłem i co rychlej wybrał się wraz ze mną ku ruinom. Gdyśmy tam zdążyli, zastaliśmy Dynysa w tej samej pozycyi, w jakiej go zostawiłem; mój chłopak przerażony, wystraszony stał oparty o drzewo i bezmyślnie przesuwał w dłoniach cugle, któremi przytrzymywał pasącego się na świeżej murawie konia.

Starzec, gdy popa zobaczył, ukłąkł jak zdrowy człowiek, przeżegnał się pobożnie... Rozpoczęła się cicha spowiedź... Później z namaszczeniem i skruchą przyjął ostatnie Sakramenta... Potem wstał i odprowadziliśmy go do izby w walącym się pałacu, którą wskazał mi pop, obznajomiony z położeniem ruin.

Straszną, ponurą noc przeżyłem wówczas; starzec majaczył bez przestanku; straszne obrazy przesuwał przed naszą i tak już wzburzoną i rozbujałą wyobraźnią. Nawet pop prawosławny czuł całą grozę położenia i wsłuchiwał się w majaczenie fantastyczne, łowiąc każde wyrwane słowo, każdą sylabę, każdy dźwięk.

Gdy pierwsze brzaski wschodzącego słońca wtargnęły do wnętrza ponurej izby — Dynys wyzionął ostatnie tchnienie.

— Czas mu już było do dziadów — szepnął z westchnieniem pop — sto dziesięć lat wieku liczył.. Polszczę jeszcze pamiętał.

* * *

W kilka dni później dowiedziałem się, że w tym samym dniu, starościński wnuk, ostatni potomek zasłużonego ongi, a później shańbionego rodu, zgrawszy się w kijowskim klubie, sprzedał ostatnią rodzinną wieś, wraz z ruinami zamku przodków i grobami rodzinnemi — moskalowi.

W listopadzie 1891 r. w Weleśniowie.

ABGAR-SOŁTAN.

JAN KASPROWICZ.

IL AMORE DESPERATO.

Z zapisków przyjaciela.

(Dokończenie).

Stałam, jak jabłoń, rozkwitła na słońcu
I plon niosąca, lecz dotąd nie było
Godziwej ręki, coby zerwać mogła
Ten zrumieniony mój owoc... O słuchaj!...
Hermon i Sanir, Amana i Liban
Czyż na swych szczytach, pachniących żywicą,
Widziały cedrę, wonniejszą odemnie?
I wtedy głową, opleconą zwojem
Pukli czarniawych, przechodzących w kolor
Wieczornej zorzy, kiedy słońce krwawo
Zaszło po burzy, ale stokroć miększych
Od jedwabnistych włókien, z których ongi
Królewskie w Kedar przędzono namioty,
Lekko na mojej wypoczęłaś piersi...
I oczy twoje, na wpół przysłonięte
Zrożowionemi u dołu powieki,
Jakby kto rozlał atom karmarynu
Na alabaster, zwilżony kryształem
Rosy porannej, zwróciły się wtedy
Ku moim ustom, rozwartym nad tobą
Z niesłychanego podziwu... Wymowne
Były te oczy: w ich blaskach tak cichy,
A tak zdradliwy usiadł demon śmiechu,
Tak do niezwykłej wabiący rozkoszy,
Że mimowoli przeszedł dreszcz me kości...
Czułem, że płomień na twarz mi wystąpił
I że nie jestem panem swojej woli...
Chciałem się zerwać, młody i w Platona
Boskiej mądrości zakochan, wielbiący
Rdzeń seraficznych zachwytów świętego
Mistrza z Assyżu... W tem dłoń twą uczułem:
Zdawało mi się, że na mojej ręce
Wypiecze stygmat, który bardziej pali
Od czerwonego żelaza... I w uszy
Wślizgnął się szept twój, jak żmija Edenu,
Co odsłoniwszy nagość praczłowieka,
Śmierci Ablowej stała się przyczyną,
Duszy niewinnej, w dziecięcej pokorze
Szczytne ofiary składającej bóstwu —
I że morderca Kain, syn Adama,
Stał się tułaczem na ziemi, biegunem,
Który, na czole mając bratobójcy
Niestarte piętno, nie znalazł spokoju...
Stój! stój! szepnęłaś... Taka filozofia
I takie władną prawidła w wszechświecie,
Że ponad wszystko jest miłość, nie we mgle
Sfer zaobłocznych spłoszona, lecz tutaj
W naszych uściskach i w naszych całunkach...
Stój! stój! jeleniu, sunący z wzniesioną
Głową po górach Beteru, twa łania
Dzisiaj przy tobie!... Z tych kwiatów ostatnich,
Z mchów, co skrywają korzenie jaworów,
Uścielmy gniazdo, zanim czas przeminie,
Zanim ta młodość, która gra nam we krwi
Pieśń nad pieśniami, zamilknie na zawsze...
I usłuchałem... I wtedy raz pierwszy
Z duszy, w mistyczny zakowanej pancerz,
Hymn mi wytrysnął bluźnierczy, że niema
Potężniejszego bóstwa ponad ciało...
O niewinności! ty lilio śród cierni!
Różo sarońska! zerwałem cię wtenczas
Ręką, drgającą od żaru, którego
Żadne poezyi nie określi słowo...
O serce, z masą ludzkich żądz nietknięte!
Ty jasny zdroju, błyszczący w Hezbonie
Tuż podle bram Batrabinu, zmąciłem
Wówczas na zawsze tem zwodniczem tchnieniem
Głąb twą lustrzaną, że stała się ciemną,
Jak noc sodomska.. A jednak — szpikanard,
Szafran i Kasja, galban i snop myrry —
Wszystkie kadzidła, jakie tylko rosną
W raju, nad brzegiem świętych rzek: Eufratu
I Chydekelu, nad strumieniem Fuson
I nad Gihonu czystemi wodami,
Niczem są, niczem przy woni, co z ciała
Twego płynęła, gdym twe piersi krągłe
Tulił do warg swych, na łożu, zasłanem
Purpurą wielkiej miłości... Hewilę,
Ziemię, gdzie złota rodzi się obfitość,
Gdzie jest onychyn, kamień drogocenny,
Stokroć ognistszy ponad ogień słońca,
Kiedy w południe zaśmieje się usty
Iskier pełnemi — wszystkie kosztowności,
Gdybym był władzcą Tyru i Sydonu,
Oddałbym patrzaj! za jedną sekundę
Owej rozkoszy, która wnętrza mego

Gmach, zbudowany z prawd i pojęć, szczęście
Dających tłumom, zmieniła od podstaw...
Ach! niezapomnę przenigdy tej chwili,
Kiedy zbudziwszy się ze snu, co ujął
Piękne twe kształty, z białego marmuru
Canowy dłutem rzeźbione subtelnem,
I odchylone zobaczywszy piersi,
Z okiem, wstydliwie odwróconem ku mnie,
Chciałaś ich czary przysłonić... Twą rękę
Schwyciłem wtedy i rzekłem: Nie skrywaj
Wdzięku, co odtąd jest dla mnie busolą,
Pokazującą, jak i dokąd dążyć...
Niema już dla mnie tajemnic: Wieczystym
Połączyliśmy już się dzisiaj ślubem:
Chociaż jeszcze nie płonęły świece
W ciemnym kościele, przystrojonym w kwiaty,
Chociaż nam organ nie brzmiał: Przybądź, Duchu!
I łaskę swoją zlej na dwie istoty,
Które chcą razem iść na bój życiowy!
Chociaż nam kapłan od pańskich ołtarzy
Z wnętrza wzajemnych nie wyciskał przysiąg,
Na suknię białą, z koronek uszytą,
Myśmy wieczystym związani już ślubem!...
I twoja dusza jest już moją duszą,
I twoje serce jest już mojem sercem,
I twoje ciało jest już mojem ciałem —
Niema już dla mnie tajemnic, o niema!
I założyłem twą rękę na szyję,
I w pół cię z miękkiej podniósłszy murawy,
Włos rozpleciony, spływający ciemną,
Jak ten wieczór, co się zbliżył, falą
Obsypywałem tysiącem całunków...
I odtąd mężem byliśmy i żoną...
Lecz wnet nasz związek dziwne wziął znamiona:
Przestał spokojem być i używaniem
Wśród idyllicznych poszumów ogrodu,
Przy szmerze wody i blasku księżyca,
A stał się walką, albowiem przemienion
W duszy i sercu, rozwinąłem sztandar,
Na którym krwawy widniał napis: ciało!
I z fanatyzmem Lazarettich jąłem
Obalać dawny porządek, stawiając
Na miejscu świątnic o gotyckich oknach,
Wzniesionych z uczuć, strzelających w niebo,
Przybytek szczęścia, w którego podwoje
Wkraczały zmysły, nagie i z rumieńcem
Na świeżych licach. . I rzekłem do ludzi:
Skrzydła Ikarów, posklejane woskiem,
Rzućcie od siebie, a natomiast silną
Antejów stopę postawcie na ziemi...
Ale potęgi dawnych bożyszcz, w sercu
Mojem zamkniętych, nie umiałem stłumić:
Z pod popieliska spalonej katedry
Jęły podnosić swe głowy. złorzecząc
Nowym idolom... I wszczął się bój straszny,
W którym me siły słabły coraz bardziej...
Próżno u ciebie szukałem pomocy;
Wilgnym całunkiem zamykałaś usta,
Kiedy spieczone od wewnętrznej walki,
Jaką dwie siły prowadziły we mnie,
Szeptały: pomóż! niech ten bój się skończy!
Na łzy — wyznaję, żem płakał jak dziecko
Niedoświadczone, wątłe, nie mające
Hartu męskiego, albowiem w uściskach
Twojej miłości, zdradliwa Dalilo!
Znikały zwolna wszystkie jego ślady —
Na łzy, na prośby ty zawsze jedyną
Miałaś odpowiedź: Takie we wszechświecie
Władną prawidła, że to, co urosło
Z ciała, dla ciała wojować powinno,
Patrz, aby ludzie, żyjący na ziemi,
Coraz to większy zdobywali skarbiec
Ziemskiego szczęścia... I znowu wznosiłem
Głowę i znowu walczyłem w twe imię...
Lecz nieprzyjazne twym hasłom demony,
Mające we mnie dawne swe gnieździska,
Z coraz to większą rozpierały mocą
Głąb mojej duszy... Nie mogąc już dłużej
Znieść gigantycznej rozterki, złamany
I zrozpaczony rzuciłem ci w oczy
Wyrzut, na który dziś jeszcze truchleję...
Nic nie odrzekłaś..! Raz tylko, przy dźwiękach
Fortepianu usłyszałem słowa
Z ust twych płynące, które mi na zawsze
Zostały w uszach, słowa Violetty:
„Szczęścia i bólu wnet mijają chwile...
Nie długo spocznę na wieki w mogile,
Nikt na mym grobie nie postawi krzyża,
Nie wzrośnie nad nim żadna lilia świeża,
Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie!
Miej nad skruszonem sercem zlitowanie..."
Kłamiesz! krzyknąłem, wpadłszy do pokoju,
Pełna obłudy jesteś, tak jak jadu
Pełen jest blekot, który, patrzaj! rośnie
Pod twojem oknem... Zniszczyłaś na wieki
Duszę człowieka, że ci wzgardą płaci,
I dziś ponownie chcesz go w swoje sidła
Uwikłać sztuką nędznych sentymentów...
I znowu byłaś milcząca, jak przedtem
Podniosłaś tylko głowę, a z źrenicy
Gniew ci wytrysnął, by wnet w żal się zmienić
Jak mi się zdało, udany... Odszedłem
I unikałem już odtąd twych spojrzeń...
Stałaś się zimną... zamkniętą w pokoju,
Gdy towarzysza utraciłaś we mnie,
W dźwięki muzyki przelewałaś boleść,
Pośród akordów, wśród dziwnie starganych,
Smutnych melodyj powracając zawsze
Do tej przezemnie pohańbionej pieśni:
„Szczęścia i bolu wnet mijają chwile...
Nie długo spocznę na wieki w mogile,
Nikt na mym grobie nie postawi krzyża,
Nie wyrośnie nad nim żadna lilia świeża,
Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie!
Miej nad skruszonem sercem zlitowanie"...
A gdy ostatni rozdźwięk w dali zginął,
Po kilku jękach wyciśniętych strunom,
Do jęku wichru podobnych, gdy w słotnej
Rozpocznie porze dąć śród wierzb odartych,
Zabrzmiała znowu przejmująca strofa:
„Ach czas nadejdzie, gdzie w skruchy godzinie
Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,
Gdy o mnie, biednej, pomyślisz inaczej,
Wtedy niech Bóg cię chroni od rozpaczy"...
I czas ten nadszedł... Spoczęłaś w mogile
Którą dziś chwasty okrywają dzikie...
Znalazłaś spokój, a mnie, jak Kaina,
Ściga przekleństwo słowami twej piersi:
„Szczęścia i bolu wnet mijają chwile...
Nie długo spocznę na wieki w mogile,
Nikt na mym grobie nie postawi krzyża,
Nie wyrośnie nad nim żadna lilia świeża,
Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie!
Miej nad skruszonem sercem zlitowanie"...
Gdzie nogą stąpnę, tam twój duch jest przy mnie,
I oczy swoje, w których gniewu blaski
W cichą się boleść mieniają, zatapia
Jako sztylety w me serce, a w uszy
Wciąż owe dźwięki sączy mi jękliwe,
Niezapomniane słowa Violetty:
„Ach czas nadejdzie, gdzie w skruchy godzinie
Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,
Gdzie o mnie, biednej pomyślisz inaczej,
Wtedy niech Bóg cię chroni od rozpaczy"...
I czas ten nadszedł! o nadszedł! o nadszedł!
I lata trwa już ma rozpacz i końca
Cierpień nie widzę, widzę tylko ducha
Twego przy sobie, jak mi serce pali
Skrą swego wzroku żal mi w uszy sączy
Przerażające słowa Violetty:
Ach! czas nadejdzie, gdzie w skruchy godzinie
Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,
Gdzie o mnie biednej............

Na przerwanej w miejscu tem zwrotce kończą się zapiski nieszczęśliwego...

MARYA KONOPNICKA

STUDYUM

PRZEZ

WILĘ ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKĄ.

Kto się raz wsłucha w skargi, co biją z cieni w łkania, w bluźnierstwa walczących:

„Z bezlitośną życia tajemnicą
Od której konają duchy!

ten już nie zaśnie spokojny i cichy i nie oderwie oczu od tajemnicy, co jak „gwiaździsta zasłona, drży w ręku Boga, od serc bicia“. Duchy co się raz do tej zbliżą zasłony, chociaż i wiedzą, ile walka kosztuje, chociaż nie przeceniają niepewnych zdobyczy, nie odstąpią już, lecz ileż:

„......Żądeł i jadu gorzkiego,
Ile poczucia nędzy i niemocy,
W tem jednem słowie: dlaczego?“

Słowo to jednak wraca, bo i cóż jest:

„......niezachwiane,
bo wiecznie pewne, niezłomnie prawdziwe?

I mamyż się dziwić, że na najkrwawszem polu duchy:

„.....jak orły zwaśnione
Biją się w chmurach o prawdę nieznaną.

Orłem być trzeba by, w te „chmury“ wzlecieć, na polu, gdzie nikt „ze śmiertelnych ostatecznego nie dopiął zwycięstwa“. Na pole to ludzkość najlepszych swych posełą synów, samych tytanów, a płaci im „samotnością i wzgardą“, bo ich czeka:

„Znój krwawy czoła i łzy krwawe oka,
Boleść, jak groby czarna i głęboka,
Dola sieroca i twarda,
Upadek duchów, walk pole najkrwawsze,
Gdzie nikt nie mierzy oręża ni siły,
I gdzie zwycięstwo otrzymuje zawsze
Czarna chorągiew mogiły!

Znów mogiła, negacya bytu! W „Dniach smutku“, szerszego niż osobisty, na krawędzi negacyi stanęła poetka. Istną bo przebyła Kalwaryę: nie obca żadnej boleści, na każdą skargę czuła, krwawiąca się o każdą otwartą ranę ziemi. Ran tych tak wiele, wszystkie otwarte bez ratunku, więc zrozpaczona pyta Boga, czy Jemu imię: „Grom i burza?

„Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy
Iskrą mu prysła z źrenicy.

Czemże ludzkość, której zalety w wieczystej z jej losami roztercze? Jeśli jest obcą Bogu, to czemu:

„.....tak stęsknioną?
Królową, gdzie jej korona?
Branką przykutą do wozu Twej chwały
Czemu w niej duch taki śmiały?
Wysłana w nocy po prawdę pątnicą
Gdzie gwiazdy, które jej świecą?

Od podobnie palących pytań duch mdleje. Poetka dochodząc do ostatecznej rozpaczy, wątpi czy warto: „Płakać łzami gorącemi, cierpieć, kochać — czy też warto?“

Szczęściem, to serce, gdyby Bogiem było, dałoby „usta wszystkim krzywdom ziemi“, a tak umiłowało ludzkość, że gdyby mogło:

„....z łez własnych, z tęsknoty
Utkać jak tęczę pas złoty,
Wrzuciłoby go w gościniec daleki:
By prędzej po nim szły wieki“,

serce to czuje, że wieki, których pochód przyśpieszać pragnie, niosą z sobą cierpień ukojenie. Byle się ludzkość zerwała od ziemi, zdobyła sobie „podstawy dla przyszłości“. Byle zrozumiała, że je sama w sobie nosi, z samej siebie wysnuć może. Życie przy ziemi zdało się poetce garścią prochu i błota, oderwane od ziemi, przeistacza się w nieśmiertelną iskrę, w oś przemian i ruchu:

„Harmonii zjawisk ton główny, przewodni,
Płomyk, co gaśnie przy śmierci podmuchu
I znów się chwyta pochodni.

Zrozpaczonej — przyroda przyszła z krzepiącym swych pociech kordyałem. O! bo przyroda sił marnie nie roni. Porwana przez oceany „grudka ziemi“, powiększa o atom „nowych lądów dźwignię“. Iskra, co:

„..... gasnąc ulata
Jak dech zdmuchnięty w wysiłku daremnym
O atom światła nie zuboży świata
Choć zniknie w zmierzchu tajemnym.
Ta sama iskra, tknięta gromem słowa
Przebiegnie ogniem przez wzruszone tłumy,
Lub jako strzała burzy piorunowa
Rozwali prastare tumy“.

Jak z iskrą życia, tak i z myśli iskrą, z pokoleń krwawą pracą:

„.....choć jutra szermierze
Padają w walce przez ciżbę zdeptani,
Z wiecznym postępem ludzkości przymierze
Nie zginie w mrocznej zwątpienia otchłani“.

Ziemia jest łez padołem, nędz jej zliczyć nie można, lecz:

„Póki w ciemności choć jeden duch kona,
Póki choć jedno serce prawdy głodne
Nie wie do czego przykuć swe pragnienia,
Nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy
W ciszy własnego istnienia“.

Z rozpaczą przed chwilą graniczący smutek, wywołany namiętnem współczuciem dla nędz i boleści tego świata, koi się w przeświadczeniu potrzeby pracy i najkrwawszej bogdaj ofiary. To są węzły solidarności z ludzkością. Płakać i biadać z nią i nad nią jest rzeczą piękną, lecz stokroć piękniejszą o jeden milimetr posunąć jej biegi, jedno zdrowe ziarno w jej niezliczone rzucić skiby:

„.....choć się glob pod stopą chwieje
Iść trzeba z męskiem wytrwaniem wśród burzy,
A kogo trudne nie złamią koleje,
Kto z upragnionym celem się nie minie
Ten tylko imię człowieka zasłuży
W nieśmiertelności dziedzinie“!

Gdzie jest nieśmiertelność tam jest i nadzieja. Gdzie jest nadzieja, jest podnieta. Gdzie jest podnieta, niema ostatecznej rozpaczy. Wiek nasz tysiącem zagadnień, które poruszył, zamroczył myślicieli czoła, goryczą poi myśliciell serca, lecz zwoje tych chmur czarnych podszywa słonecznym promieniem miłości i poczucia obowiązku. Z chmur strzelają gromy, biją błyskawice, pod któremi ludzkość „zawiłą“ biegnie drogą, lecz ponad chmurami, po za niemi, jest słońce, którego promienie trzeba:

„.....w piersiach jak w lampce z kryształu
Zamknąć i iść tak w łunach ideału
Aż do nieznanej mogiły“.

Walka nie odstrasza już poetki. Za bardzo jest córką swego wieku, zanadto nasiękła jego prądami i wie, że wiek ten, doróśłszy do zasługi, wszystko własnej chce zawdzięczyć pracy, że:

„.....gdyby mu dano
Prawdę, jak gwiazdę jaśniejącą cudem,

Ot tak gotową, zdjętą prosto z nieba,
Prawdę krwią serca jego nie oblaną
I nie zdobytą potem ani łzami,
On by ją rzucił, bo jemu potrzeba
Iść i zdobywać i łamać się z trudem".

Przełom dokonany. Ideał pochwychony, cele wykazane.

(D. c. n.).

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

XII.

Memento. — Jubileusz Towarzystwa muzycznego. — Cztery premiery. — „Fejletoniki" K. Bartoszewicza.

(pr.) Słyszymy, że Towarzystwo opieki nad weteranami z 31 roku upada. Że instytucya taka może zacząć upadać, to daje najsmutniejsze świadectwo narodowi.

Niestety świadectw takich Polacy nie spisaliby na wołowej skórze. Skorośmy już jednak dopuścili do tego, że byt Towarzystwa chwieje się, to postarajmyż się złe naprawić. Powinien być jakiś stały fundusz z rąk publiczności przeznaczony na opiekę nad szczątkami ostatniej armii polskiej. Wobec tego, że dochodów z wieczorków Mickiewiczowskich nie oddaje się już na pomnik, czy nie wartoby o tem pomyśleć, aby dochody te, w części przynajmniej, ofiarowywano weteranom z rewolucyi listopadowej? O uczczeniu pamięci Mickiewicza pamięta cała Galicyja, niemal w każdym miasteczku urządzane bywają wieczory, które przynoszą czasem po kilkaset złr. dochodu, rokrocznie zatem zebrałby się jakiś grosz dla tych, którzy są naszą chwałą, a z których ostatniego niedługo już złożymy w ziemi.

* * *

(i.) Jubileusz 25-letni krakowskiego Towarzystwa muzycznego jest bezwątpienia wypadkiem znaczącym w historyi naszego artystycznego światka. Gdyby instytucya ta nie mogła się dziś niczem innem pochlubić, jak tylko tem, że rozbudzała wśród naszego apatycznego i wiecznie drzemiącego ogółu zamiłowanie do muzyki, jako sztuki, (a nie środka popisu) — to jużby zrobiła wiele. A przecież Tow. muzyczne szerszą sobie zakreśliło działalność i prawdziwie, jak na nasze stosunki, dużo zrobiło, tworząc, że tak powiemy, nowozaciężną drużynę zamiłowanych amatorów, z których powstały: doskonały chór i orkiestra.

Towarzystwo krakowskie zawiązało się 31 października 1866 r., staraniem pp. Ludwika Turnaua i Emila Linhardta. Drukowany statut Towarzystwa, wówczas pod nazwą „Muza" istniejącego, nosi datę 1867 r. Od tej chwili batuta dyrektorska przechodziła z rąk do rąk; dzierżyli ją kolejno: Linhardt, śp. Guniewicz, śp. Vopalka, St. Niedzielski (do 1886 r.), wreszcie Wiktor Barabasz, za którego dyrekcyi stanęła instytucya na najwyższym dotąd stopniu rozwoju. W pięcioleciu od r. 1876—1881 dało Towarzystwo 50 produkcyj publicznych, w następnem 56, w ostatniem zaś 57. Najświetniejszą dobą Towarzystwa jest bezwątpienia czas od roku 1884—1886, rozpoczęty pierwszym występem p. Józefa Adamowskiego. Biblioteka Towarzystwa jest dobrze zaopatrzoną; majątek sympatycznej instytucyi wynosi dziś 9.783 złr.

Z okazyi ćwierćwiekowego jubileuszu ukazała się sprawozdawcza broszura p St. Ciechanowskiego, z której wyjęliśmy powyższe dane.

Zbytecznem byłoby dodawać, że wedle naszego prawa zwyczajowego zamarkowano także uroczystą chwilę tanami i ucztą składkową.

Że też nie potrafimy święcić żadnego jubileuszu bez jadła, bombastycznych toastów i skakania „do białego dnia"!

(b.) Dość duży repertuar swojskich bluetek zbogaciły świeżo cztery jednoaktówki znanych scenicznych pisarzy: M. Bałuckiego, Z. Przybylskiego i Ryszarda Ruszkowskiego, który tym razem wystąpił samodzielnie, to jest, bez sukursu Abrahamowicza.

„Kuzynek" Bałuckiego — słusznie nazwany fraszką sceniczną — posiada markę pierwszorzędnej roboty, i, pomimo, że jest podobny, jak dwie krople wody do całego legionu kuzynków, węszących wśród młodych stadeł, a więc staje się szablonowym „tym trzecim", pociąga widza, bawi go szczerze zarówno zręczną intrygą, jak i sytuacyjnym efektem. „Pierwszy bal" Z. Przybylskiego stanowi, jakby tu powiedzieć, mały przełom w twórczości autora „Wicka i Wacka". P. Przybylski dowiódł tą bluetkę, że jest majstrem nawet tam, gdzie kończy się granica farsy, pełnej różnorakiej wartości efektów, a zaczyna się szeroka i głębsza sfera psychologicznych motywów. Łatwo zainteresować publiczność losami sympatycznych smyków, trudniej wywołać w jej sercach odczucie prawdziwej poezyi, wiejącej z miłości nieśmiałego dziewczęcia; stokroć trudniej o rzetelny sentyment, niż o więcej lub mniej smaczny koncept. A jednak powinszować można p. Przybylskiemu „Pierwszego balu" i życzyć mu, aby w tym kierunku szedł dalej, a wówczas zdobędzie sobie niewątpliwie duży sukces.

Postać Róży tchnie iście dziewiczą świeżością, tyle w niej szczerości, prawdy i uczucia. Dziewczyna wybiera się na pierwszy bal, a więc pała ciekawością ujrzenia nieznanego sobie dotąd świata, pożąda hołdów, liczy minuty, dzielące ją od chwili rozpoczęcia zabawy. Różę niepokoi tylko, że zakochany nie będzie jej towarzyszył. Ona pragnie zgiełku, zabawy — on przeciwnie, ciszy i spokoju. Pod tem wrażeżeniem siada Róża do fortepianu i słyszymy dźwięki Szopenowskiej fantazyi oraz śpiew młodzieńca. Muzyka działa silnie na zakochanych: ona skłania główkę, on popada w zadumę. Efekt milczenia jest stanowczo doskonały. Młoda para postanawia zostać w domu i wyprawia sobie, ku oburzeniu dobrze scharakteryzowanych krewnych — bal zaręczynowy.

O ile „Pierwszy bal" tętni prawdą, o tyle znowu „Schadzka" razi jej zupełnym niemal brakiem, oraz bardzo pośpieszną robotą, czem wytłumaczyć chyba można niewyrazistość charakterów i całkiem nieprawdopodobny sposób djalogowania. Autor kreśląc, „Schadzkę", zapewne na kolanach, zapomniał, iż kobieta z towarzystwa, spotkawszy w lesie gajowego, używa w rozmowie z nim zwrotów prostych, a nie wyszukanych i salonowych, do których poziomu chłop chyba wznieść się nie może.

P. Ryszard Ruszkowski palnął sobie satyrę na obrzydliwą galicyjską manję prezesowania, — słowem sparodjował rozwielmożnione u nas urzędy honorowe. Bonuś, kupiec żelaza jest członkiem kilkunastu towarzystw, ale w żadnem z nich nie może dostąpić zaszczytu wejścia do wydziału. Ztąd budzi się w nim żyłka odegrania *a tout prix* roli w życiu publicznem. Zakłada więc z jakiemiś podejrzanemi indywiduami stowarzyszenie „wzajemnego odrodzenia się" i sam ogłasza się prezesem. Interwencya władzy bezpieczeństwa, która rozpędza członków projektowanego towarzystwa zaraz na wstępnej sesyi i poznanie się Bonusia na moralnej wartości otoczenia — temperują jego zapędy prezesowskie i wracają rodzinie poczciwego ojca.

„Bonuś prezesem" napisany jest z temperamentem, a zbytecznem byłoby dodawać, że odpowiada warunkom scenicznym.

Wykonanie wszystkich czterech bluetek nie pozostawiało prawie nic do życzenia. W „Pierwszym balu" zebrała p. Dziryttówna lwią część oklasków, a przyznać musimy, że na nie bardzo zasłużyła trafnem podchwyceniem subtelnych rysów zakochanego podlotka. Serdecznym papą był p. Stępowski. W „Kuzynku" grali pp. Żelazowski i Sobiesław koncertowo, a p. Trapszówna dowiodła, że talent jej z każdym

dniem się rozwija i dojrzewa. Pani Żelazowska pokonała (w „Schadzce“) trudności, leżące w niewyraźnym charakterze Julji, p. Siemaszko zaś, stworzył dobrą postać domyślnego gajowego. „Bonuś prezesem“ dał duże pole do popisu autorowi i p. Wojnowskiej.

* * *

(*kt.*) „Napisało się trochę fejletoników — żal mi, aby przepadły, jak wszystko mniej więcej na łamach dziennikarskich przepada — a więc wydaję je osobno.

Autorska miłość własna życzyłaby sobie (cóż w tem dziwnego?) aby tu i owdzie o tej książczynie napisano. Ale to rzecz trudna dla tych, co nie posiadają ani krewnych, ani osobistych przyjaciół pomiędzy dziennikarzami.“

Tak zaczyna przedmowę do swych „Fejletoników“ p. Kazim. Bartoszewicz. Nie jestem ani krewnym, ani nie mam szczęścia być osobistym przyjacielem p. Bartoszewicza, a jeżeli biorę pióro do ręki, aby parę słów napisać o jego „książczynie“, to dlatego, że niewątpliwie zasługuje ona na to.

Zasługuje z dwóch przedewszystkiem przyczyn: primo, zawiera w sobie wiele bardzo zdrowych praktycznych i trzeźwych myśli, a secundo: pisana jest językiem bardzo poprawnym.

Pan Bartoszewicz nie szuka tematów ani wysoko, ani głęboko: bierze on to, co ma pod ręką, co najbardziej w danej chwili bije w oczy i albo wydrwi, albo schłoszcze, albo przy danej sposobności rzuci uwagę, której chyba zawsze przyznać trzeba słuszność. P. Bartoszewicz w „Fejletonikach“ swoich wykazuje duży dar obserwacyjny. Podczas wycieczek swoich do Pragi, chwycił w lot zdumiewająco wiele szczegółów z czeskich stosunków i zestawił to, co tam znalazł, z tem, co się u nas dzieje, bardzo trafnie i sprytnie.

O tym darze obserwacyjnym zresztą świadczy prawie każdy „Fejletonik“; p. Bartoszewicz zna społeczeństwo, w którem się obraca, na wylot, i z właściwą sobie satyryczną werwą umie je krytykować. Jest on przedewszystkiem satyrykiem: dowcip dopisuje mu najlepiej wówczas, gdy chce kogoś lub coś wyśmiać, albo ośmieszyć.

Humorystycznie pisze p. Bartoszewicz prawie wszystkie „Fejletoniki“, ale nie bawienie publiczności jest głównym jego celem: porusza on spraw ważnych mnóstwo, a to, co pisał „o istniejącym systemie szkolnym“, nie pozostało bez echa i bez śladu.

Dla ogółu naszego społeczeństwa krakowskiego i galicyjskiego przeczytanie książki p. Bartoszewicza byłoby wielce pożytecznem; dobrze jest czasem zobaczyć się przez cudze oczy, zwłaszcza, jeżeli patrzą one bystro i jasno. A przytem esprit d'apropos i nieraz wyborny humor autora stanowią ogromną okrasę książki.

Ponieważ u nas nie można nic napisać, żeby zaraz nie pytano się, do jakiej partyi należy autor: więc i p. Bartoszewicz musi się *tu* lub *tam* liczyć... Otóż zdaje mi się, że p. Bartoszewicz liczy się do umiarkowanych konserwatystów, że droga ani zbyt na lewo, ani zbyt na prawo, ale w każdym razie więcej na prawo, niż na lewo, jest mu najsympatyczniejszą.

Że w „Fejletonikach“ znać na każdym kroku niepospolity talent pisarski, o tem zbytecznem jest wzmiankować.

SHELLEY.

(SZKIC).

IV.

(Dokończenie).

Widok Włoch wywarł na poecie wielkie wrażenie. Jak powiada żona jego, „wydał mu się kraj ten uroczym ogrodem, pod niebem przezroczystszem i jaśniejszem, aniżeli je kiedykolwiek widział gdzieindziej. Duch poetycki wzbudził się w nim niebawem w całej potędze i w większej daleko piękności, aniżeli ta, która przenikała pierwsze jego próby“.

Owocem tego wrażenia był pomysł napisania „Prometeusza rozpętanego“, lirycznego dramatu, będącego wspaniałą apoteozą wolności.

Największych poetów — że wymienię tylko w starożytności Eschylosa, w naszym wieku Goethego i Byrona, przyciągał cudowny myt o tytanie, który się nie wahał podnieść czoła przeciwko gromowładnemu bogu; który wykradł ogień niebieski, ogień świadomości i swobody, ażeby nim uszczęśliwić człowieka.

Atoli zbliżając się w pojęciu swojem Prometeusza najbardziej do greckiego poety, Shelley różnił się zasadniczo zarówno od Goethego, jak i Byrona.

Prometeusz Goethego to rewolucyjny duch twórczy, który buduje sobie własnemi siłami swą chatę i lepi człowieka podług swego wzoru, uie troszcząc się o bóstwo, pokazując mu pogardę swoją; tytan Byronowski zaś to dumny męczennik, który, przykuty do skały, zaciska zęby, aby nie zdradzić wobec Jowisza, jakie ponosi męczarnie; który nie żąda od nikogo żadnej ulgi, żadnej pociechy; któryby nigdy nie pozwolił, ażeby, jak w Shelleyowskim dramacie okeanidy śpiewały mu pieśni ukojeń.

Prometeusz Shelleya jest, stosownie do jego filozofii miłości, dobroczynnym duchem ludzkim, który, mimo straszliwych mąk, nie pała nienawiścią ku wrogom swoim, który za wszystkie katusze odpłaca — miłością. Wie on, że skończyć się musi panowanie Jowisza, będące tylko pewnym okresem w życiu świata; wie on, że z natury rzeczy, skutkiem nieśmiertelnych pierwiastków dobrego, jakie rozsiane są w wszechświecie, jakie się mieszczą w naturze człowieka; pierwiastków, które mogą być przytłumione, ale nigdy zniszczone na wieki, — zawita królestwo szczęścia, królestwo radości, królestwo swobody. Jest to naturalny wynik filozofii Shelleya, filozofii idealistycznej. Mimo tu i owdzie rzucanych namiętnych klątw na ciemiężycieli, klątw wywołanych nadmierną boleścią i prześladowaniem, Shelley nie jest rewolucjonistą gwałtownym. Cała jego rewolucyja, która podług jego zdania przekształci świat, to nie pochód, niweczący wszystko „stopy miedzianemi“, to nie huk zdruzgotanych gwałtem ołtarzy dawnych bóstw, to nie pożar ani strumień krwi — to miłość, ta zasadnicza ideja pierwotnego chrześcijaństwa. Buddha i Chrystus chcieli świat nią zbawić i Shelley, mający ze wszystkich ludzi najwięcej idealizmu Chrystusowego w sobie, udowodnił całem swem życiem i wszystką swą pieśnią, że właśnie miłość uważał za siłę uszlachetniającą, siłę, która przetworzy świat, która go doprowadzi do prawdziwego rozkwitu.

Nietylko jako poeta, lecz i jako agitator polityczny usiłował on tę myśl swoją wcielać w czyn; pojechawszy do Irlandyi, ażeby tam bronić sprawy katolików, zalecał im, ażeby prawa swe wywalczali nie w sposób gwałtowny, nie przelewem krwi, tylko mówiąc słowami jego „Manifestu“: cnotą, mądrością, tolerancyą i zgodą.

Pobyt we Włoszech był nadzwyczaj płodnym. Oprócz „Prometeusza rozpętanego“, powstał tutaj cały cykl poematów, które Shelleya postawiły w szeregu największych poetów świata: „Rosalinde i Helena“, „Książę Atanazy“, „Julian i Maddolo“, „Euganeje“, wspaniały dramat „Rodzina Cencich*) znaczna ilość tak zwanych „poezyj natury“, „Epipsychidion“, „Adonais“, dramat liryczny „Hellada“ etc. Charakterystyki poezyj co dopiero wymienionych podawać nie będę, bo i tak już przekroczyłem ramy zwykłego szkicu. Powiem

*) Autor niniejszego szkicu przyswoił literaturze polskiej z dzieł Schelleya następujące: Alastor, Epipsychidion, Rodzina Cencich, oda do wiatru zachodniego etc. W manuskrypcie posiada: „Królowę Mab“, Adonaisa i szereg drobnych wierszy. (*Przyp. red. „Myśli“.*)

tylko kilka słów o „poezjach natury“, które najbardziej może odźwierciadlają duszę poety. Na wstępie mego szkicu przytoczyłem urywek „Alastora“, którego przekład wydrukowałem onego czasu w „Kraju“. W urywku tym zwraca się Shelley do Przyrody, jako do tej, którą najbardziej ukochał. W innem miejscu porównuje on siebie z Akteonem, którego na części rozszarpał widok nagiej Przyrody; Przyroda też odgrywa w poezjach Shelleya rolę największą. Rzecz to naturalna, że człowiek, który nie zaznał sympatyi u ludzi, a tak jej bardzo potrzebował, szukał tej sympatyi w naturze. Widzieliśmy, że identyfikuje on się z wielkimi tworami Przyrody, że nazywa ich rodzonymi braćmi. Za temat do swych poematów natury brał on przedewszystkiem to, co go porywało wspaniałością i ogromem. A więc: olbrzymie góry, horyzont niebieski, wschód i zachód słońca, morze — nie rozbudzone, jak to lubił Byron, ale zachwycające majestatycznym spokojem — obłoki, przesuwające po niebie, a nawet wiatr, wiatr jesienny, który tak demoniczne wywierał na nim wrażenie, że pod jego wpływem Shelley niejako traci naturę człowieka, że pragnie, aby go uniósł ze sobą, jak liść, jak chmurę, jak falę; chce, ażeby go przemienił w swą harfę, aby się stał jego duchem, aby jego myśl poniósł w świat szeroki, aby roztrząsnął jego słowa jak „iskry ognionośne“, aby nad ziemią rozszerzył jego proroctwo, że i dla niej przyjdzie czas zmartwychwstania.

Przytaczam ostatni ustęp tej ody wspaniałej, która w literaturze świata mało posiada równych sobie poematów:

„Niech się w twą harfę, jak ten las, przemienię,
Choć się liść ze mnie, jak z niego pozrywa...
Twoich melodyj przepotężne drżenie

* * *

Obom jesienny dźwięk nam z serc dobywa,
Słodki, choć smutny... niekiełznany duchu!
Bądź moim duchem! Bądź mną, siło żywa!...

* * *

W świat myśl mą zmarłą ponieś nakształt puchu
Tych liści zwiędłych, wieszczących radośne
Dni zmartwychpowstań... W rozpieśnionym ruchu

* * *

Roztrząś, jak popiół iskry ognionośne,
Te moje słowa. Niechaj się rozszerza
Nad senną ziemią me proroctwo, głośne

* * *

Jak odgłos surmy: Gdy się zima zbliża,
Czyż nie podąża za nią wiosna hyża??*)...

Mieszkając we Włoszech, Shelley zmieniał dość często miejsce pobytu, bawiąc naprzemian to w Neapolu, w Rzymie, Balzowano, Florencyi, Pizie, Rawennie, gdzie odwiedzał zaprzyjaźnionego z nim Byrona. W r. 1821 na wiosnę, z powodu wzmagającej się gorączki, powziął wraz z Byronem plan przesiedlenia się z Pizy na wybrzeża zatoki spezzyjskiej; zamiar swój uskutecznił 20 kwietnia. W czerwcu jednak wrócił do Pizy na przyjęcie przyjaciela swego Leighe Hunta, który zamieszkał w pałacu Byrona.

W nocy 7 lipca opuścił znowu Pizę i udał się do Livorno. Tu zaskoczyła go śmierć równie romantyczna, jak romantycznem było całe jego dotychczasowe życie. Utonął on płynąc łodzią z Livorno do Lerio.

Po kilkunastu dniach daremnych poszukiwań, znaleziono jego ciało nad wybrzeżami zatoki spezzyjskiej: wyrzuciło je morze. Ponieważ prawo kwarantanowe nakazywało, ażeby wszystko to, co pochodzi z morza, zostało spalone, przeto skorzystał z tego Byron i wyprawił Shelleyowi pogrzeb, jaki może najbardziej odpowiadał jego naturze. Spalił zwłoki jego na stosie. Dzień tego niezwykłego pogrzebu był, jak piszą naoczni świadkowie, przecudowny: Niebo włoskie, błękitne, żadną nie zakłócone chmurką, to samo niebo, które poeta tak gorącemi malował barwami w swych pieśniach, pisanych na ziemi Danta; w oddali na horyzoncie niebieskim gubiły Apeniny swe szczyty śnieżyste, zachwycające różnorodnością swych kształtów; morze spokojne, otulające falą swą niezbyt odległe wyspy: Capri, Gorgonę i Elbę; nad brzegami w długim szeregu wieże strażnicze, a nigdzie ani śladu ludzkiego mieszkania — wogóle cała okolica, pusta a wspaniała, odpowiadała najbardziej geniuszowi Shelleya, tak, że obecnym przy tym smutnym obrzędzie zdawało się, iż duch umarłego zawisł nad nimi w całej swej olbrzymiej potędze. Do ognia dodano wina i soli, wskutek czego płomień drżał i strzelał długimi językami w górę. Nad stosem pokazał się jakiś drobny ptak, którego w żaden sposób nie było można odegnać — wszystko to na widzach deprymujące a zarazem wspaniałe czyniło wrażenie. Byron był zamyślony i smutny, nikt nie przemówił ani słowa. Wreszcie spłonęły zwłoki, pozostało tylko serce nietknięte, jakby na znak, że to serce, w którem przywykliśmy lokalizować uczucia szlachetne, w którem przywykliśmy zamykać miłość, było silniejsze ponad wszelkie żywioły, że tego serca, którego nie zdołały zniweczyć żadne prześladowania, jakich wielki poeta ten doznał za życia, nie mogła nawet zniszczyć wszystko żrąca potęga ognia.*)

Popioły złożono w urnę i pochowano na cmentarzu protestanckim, u stóp piramidy Cestjusza, w Rzymie, gdzie dotychczas spoczywają.

Jan Kasprowicz.

*) „Oda do wiatru zachodniego“, w przekładzie autora szkicu, drukowaną była w całości w bieżącym roczniku „Prawdy“ warszawskiej. (*Przyp. red. „Myśli“.*)

*) Poemat pt.: „Pogrzeb Shelleya“ napisał znany poeta p. Antoni Lange. (*Przyp. red.*)

„DEMON MIŁOŚCI“.

Fakta niezbite pouczają, że ludzie o inteligencyi głębokiej. o charakterach wzniosłych padają częstokroć ofiarą najwyuzdańszych kobiet, że do tego rodzaju niewiast lgną całą duszą, że świadomie rzucają się w przepaść.

Nie zamierzam tutaj kreślić rodowodu nowożytnych Aspazyj, ani zagłębiać się w rozbiór rzeczy dowiedzionej, chodzi mi bowiem o podkreślenie motywu, jak świat, starego, a to tem snadniej, że dzisiejsi dramatopisarze lubują się w stosunku nierządnic do „natur wyższych“.

Henryk Suderman, autor słusznie cenionego „Honoru“ napisał niedawno dramat pt.: „Koniec Sodomy“, osnuty na tle podobnem: zezwierzęconej miłości głośnego artysty-malarza do oddającej się po kolejce każdemu z napotykanych po drodze mężczyzn — bankierowej, która żąda od samców jeno tego, aby draźnili jej... nerwy.

P. Władysław Motty przeniósł taki „aparat“ na grunt swojski. Dalila jego (mówiąc grzecznie, posiadamy bowiem inny, krótszy a dosadniejszy na kobiety takie termin) nazywa się baronową Ludwiką Wyszogrodzką i jest niestety... polką.

Baronowa etycznie, zdaniem naszem, stokroć podlejsza od włóczącej się po ulicach prostytutki, przyjmuje w swoich "salonach“ zarówno wyrzutków społeczeństwa, jak i tych panów, którzy lubią pobawić się zdala od domu i w tajemnicy przed żonami, wogóle uczciwemi kobietami. Spotkasz tam i hr. Staryńskiego i bogatego obywatela Toreckiego i rozmaite „śpiewające damy“ w otoczeniu brata gospodyni, najzwyklejszego sutenera, recte faktora, który ciągnie grube zyski z nierządu siostry.

W buduarze albo sypialni baronowej spotkasz tylko takich, którzy posiadają... gotówkę.

Otóż, do tego grona wprowadza autor modnego poetę p. Bolesława Żarskiego. Piękna gospodyni objawia życzenie ujrzenia go wieczorem na recepcyi, gdyż nazwisko Żarskiego jest na ustach wszystkich, a usłużni fagasi sprowadzają go prawie gwałtem, używszy zręcznego fortelu. P. Torecki, bieżący kochanek baronowej, obiecuje duże sumy za usidlenie młodego pisarza, pała bowiem do Żarskiego uczuciem zemsty (nieuzasadnionem) za pokrzyżowanie mu planów względem panny Modrzyńskiej. Pan płaci, a więc Ludwika gra ohydną komedję, braciszek zaś skutecznie pomaga.

Żarski w 3 akcie, po oddeklamowaniu dość dźwięcznego wiersza pt.: „Demon miłości", żegna na zimno baronową, w akcie 4-tym już szaleje na gorąco, w piątym wreszcie, widząc przewrotność Dalili — zabija ją i kończy samobójstwem.

Ztąd, w myśl tendencyj autora, nauka, że prawdziwa miłość unieszczęśliwia, że „rozbicie i zagłada czycha zwykle tam, gdzie szukamy szczęścia."

Daruje p. Motty, ale, zdaniem mojem, widz odnosi z dramatu jego nieco odmienne wrażenie, tj., że szał za nierządnicą prowadzi do upodlenia i zguby.

Dramat p. M., o którym nam wieści z nad Warty dużo zapowiadały, posiada dwie kardynalne wady, raz nie dostaje mu psychologicznego podścieliska, na którem powinien się rozwinąć stosunek Żarskiego do Ludwiki, podczas gdy autor załatwił się z tem w antrakcie między aktem trzecim a czwartym (a byłby to moment najciekawszy) po drugie zaś sztuka jest źle zbudowaną, gdyż dwa akty (I i II) sklecone są z luźnych, epizodycznych scen, w których postacie zjawiają się jak „deus ex machina", by następnie zginąć bezpowrotnie.

Wykonanie „Demona miłości" na scenie krakowskiej nie było wzorowe.

Pan Żelazowski dobrze pojął, jakim być winien młodzieniec „fin de sieclu" i umiejętnie nadawał wyraz rosnącej namiętności. Rola baronowej niewłaściwie powierzoną została p. Siennickiej, (zamiast p. Żelazowskiej). Utalentowana artystka nie potrafiła odpowiednio wyzyskać wszystkich subtelnych rysów w postępowaniu salonowej prostytutki.

P. Parysotówna dokładała starań, aby niewielką rólkę Julii Warnheim pozbawić wszelkiej wyrazistości i charakteru.

PP. Werner, Sobiesław, Rygier, Siemaszko oraz panna Dzirytt zasłużyli swą grą na szczere uznanie.

Józef Bornsztein.

MISCELANEA.

*** Dnia 31 sierpnia obchodził znakomity uczony niemiecki Herman Helmholtz 70-tą rocznicę urodzin. Dnia 2 zm. minęło 49 lat od czasu, kiedy otrzymał stopień doktora medycyny. Liczni przyjaciele, uczniowie i wielbiciele Helmholtza uroczyście obchodzili jubileusz męża nauki i ustanowili na przyszłość nagrodę w postaci medalu, który ma być udziolony temu, kto w dziedzinach przez Helmholtza uprawianych największe dla wiedzy położy zasługi. W r. 1849 wykładał jubilat fizyologię w Królewcu. W r. 1855 powołany został do Bonn, a w r. 1871, po śmierci fizyka Maynosa, objął katedrę fizyki i kierownictwo instytutu fizycznego w uniwersytecie berlińskim. Warszawski „Wszechświat" poświęcił ostatni numer szczegółowemu rozbiorowi naukowej działalności Helmholtza. Znajdujemy tam prace pp.: Diksteina, Dra Natansona, Kramsztyków i Flauma.

*** Mantegazza, popularny autor „Hygieny i fizyologii miłości" obchodził 60 rocznicę urodzin w Monzy.

*** Nowe opery. Jan Strauss napisał nową operę komiczną do słów Ludwika Doczi'ego p. t.: *Rycerz Pazman*. Opera będzie wystawiona po raz pierwszy w dniu 19 b. m. w Operze cesarskiej w Wiedniu. Nabyła ją także intendentura opery berlińskiej.

L'amico Fritz, najnowsza opera Mascagni'ego, twórcy *Rycerskości wieśniaczej*, jest sielanką w 3 aktach z prologiem i intermezzem symfonicznem. Występuje w niej sześć osób, z tych cztery ma partye główne na sopran, mezzosopran, tenor i baryton. Operę wystawiono po raz pierwszy w teatrze „Canstanzi" w Rzymie. Najnowszy utwór Mascagni'ego rozpoczyna się hymnem do wiosny, śpiewanym za sceną przed odsłonięciem kurtyny. Libretto przerobił ze znanej powieści Erckman'a Chatrian'a dziennikarz neapolitański: Mikołaj Dyspuro.

*** Herman Suderman, autor „Honoru", napisał napisał nowy utwór dramatyczny p. t.: „Heimat", który wystawiony będzie wkrótce w berlińskim teatrze Lessinga.

*** Nowa gwiazda zajaśniała na horyzoncie muzycznym. Jest nią młody kompozytor włoski Umberto Masetti, którego opera *Vindice*, wystawiona w Bolonii, doznała nadzwyczaj wielkiego powodzenia. Krytyka zestawia Masettiego z Verdim i Mascagnim.

*** „Córka pani Fanchon" — oto tytuł najnowszej operetki Varney'a, która w teatrze paryskim „Folies Dramatiques" odniosła w dniu 3 z. m. nadzwyczajny sukces. Od czasu „Madame Angot" nie pamiętają równego powodzenia.

*** Komedyopisarz Moser, który już raz miał wypadek rzekomo nieświadomego spotkania się w pomysłach z Fredrą ojcem; obecnie napisał do spółki z Misch'em komedyę p. t. *Fräulein Frau*. Tytuł ten bardzo przypomina *Pannę Mężatkę* Józefa Korzeniowskiego. Czy nie jest to czasem nowy plagiat?

*** Nakładem S. Lewentala w Warszawie wyszła powieść M. Bałuckiego p. t.: *250.000*, drukowana niegdyś w „Tygodniku powszechnym" Orgelbranda.

*** Zeszyt XXII „Ekonomisty Polskiego", który opuścił prasę zawiera między innemi: „Ruch społeczny a socyalizm z powodu dzieła, „Historya ruchu społecznego" Bolesława Limanowskiego, (ciąg dalszy) przez Dra Włodzimierza Czerkawskiego. Przegląd literacki: „Stosunek wartości złota do srebra" napisał prof. Dr. Józef Milewski. Kraków 1891, przez Z. Poznańskiego.

*** Nakładem Wydawnictwa dzieł lekarskich polskich w Krakowie, ukazały się „Rozprawy z zakresu medycyny praktycznej". Rozprawy te wychodzą w nieokreślonych naprzód odstępach czasu, w zeszytach 1—4 arkuszowych i zawierają artykuły oryginalne ze wszystkich gałęzi medycyny praktycznej z przeważnem uwzględnieniem potrzeb lekarzy praktykujących. Głównym celem „Rozpraw" jest wzbudzenie ruchu naukowego pomiędzy lekarzami, zachęcanie ich do pisania monografii lub rozpraw, przedstawiających obecne stanowisko nauki w danej sprawie, a zarazem zaznajamianie lekarzy praktykujących zapomocą oryginalnych rozpraw ze współczesnem stanowiskiem nauki. Tym sposobem Wydawnictwo dzieł lekarskich polskich pragnie rozszerzyć swój dotychczasowy zakres działania i przyczynić się do uzupełnienia dotychczasowych peryodycznych wydawnictw lekarskich polskich.

Rozprawy z zakresu medycyny praktycznej zostają pod znakomitą redakcyą Prof. Dr. Edwarda Korczyńskiego w Krakowie.

*** Niedawno w Lipsku opuściła prasę nowa książka Dra Ludwika Gumplowicza, prof. uniwersytetu w Gracu, pt.: *Sociologie und Politik*. Autor zastanawia się w niej nad istotą socyologii, jako samodzielnej umiejętności, i wykazuje, że socyologia jest właściwie teoryą polityki, a polityka socyologią zastosowaną. Na podstawie tej teoryi można, według autora, z wielkiem prawdopodobieństwem stawiać wróżby polityczne, tak samo, jak się stawia meteorologiczne.

*** W dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodn." znajdujemy ciekawą pracę St. Rossowskiego: O korespondencyi głośnego w swoim czasie bajkopisarza duńskiego: H. C. Andersena.

*** W „Prawdzie“ czytamy od kilku tygodni doskonałą nowelę p. Krzemienieckiej pt: „Przed wyrokiem“. Mamy więc nowy talent niewieści!

*** Sewer pisze większych rozmiarów powieść na tle stosunków galicyjskich. Głośny pisarz zamierza przerobić jednę ze swych nowel pt.: „Niespodziewana wielkość“ na utwór sceniczny.

*** Paweł Bourget pisze obecnie w Prowancyi nową powieść pt.: „Ziemia obiecana“ (Terre promise). Głośny autor „Ucznia“ snuje swój utwór na tle miłości młodzieńca, który w przeddzień ślubu spotyka kochaną niegdyś kobietę i postanawia zerwać w ostatniej chwili zamierzone małżeństwo, by żyć wyłącznie dla dawnego ideału. Po ukończeniu tej powieści przystąpi Bourget do większych rozmiarów psychologicznej pracy pt.: „Cosmopolis“.

*** P. St. Estreicher wydrukował w fejletonie „Czasu“ zajmującą rzecz: „O Szekspirze w Polsce w XVIII w.“

*** P. Franciszek Konarski, zdolny poeta-satyryk, zamieścił w „Nowinach literackich“ następujący wierszyk pod adresem wydawcy tegoż przewodnika bibliograficznego.

I Tyś zabawny, bibliopolo,
I Twe „Nowiny literackie“!
Naprawdę więc z niezłomną wolą
Na książki brać chcesz dzieci lackie?

Wierz mi, Tyś śmieszny! wszakże dzieje
Stwierdziły z siłą to pewnika.
Że Polak walczy, orze, sieje,
Lecz na sto mil od książki zmyka!

A zresztą sam mi przyznaj, proszę,
Po co skupować dziś bibułę,
Gdy inne czary i rozkosze
Wzbudzają w sercu żądze czułe?

Książki, a zwłaszcza polskie dzieła,
Zbyt jeszcze trącą nam powagą,
A nas dziś chętka *śmiać się* zdjęła,
I prawdę lubim tylko — *nagą*.

Spać poszedł dziś ideał chmurny,
W łeb dostał niesmak desperacki,
I milszy nam jest „August durny“
Niż ojcom naszym był Słowacki.

Nam operetka dni upiększa,
Godłem dziś kusej wdzięk spódnicy.
A niż w stu księgach, mądrość większa
Świeci nam — w nóżce baletnicy.

Gustawa ból, „Pieśni Janusza“
Zlewały łzami nasze matki,
Dziś panie nasze do łez wzrusza
Chyba — kapelusz u sąsiadki.

I gdy „Tadeusz“, „Konrad“ boski
Był ich zachwytów niegdyś świadek.
Dziś nowy kostyum płoszy troski,
A życie słodzi — funt pomadek...

A więc siedź cicho, przyjacielu,
Nie radzę między drzwi kłaść palce,
Rzuć w kąt zamysły swe bez celu,
Gdy nie chcesz guza dostać w walce.

Lecz gdybyś mężczyzn i kobietki
Przecież rozruszać chciał troszeczkę,
Inne wydawaj nam gazetki,
Ot tak: „Skandalik“ lub „Ploteczkę“!

Czy nie prawda?

OD REDAKCYI.

Do następnego numeru „MYŚLI“ dołączymy cały arkusz powieści St. Graybnera: Mamin Synek.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**